№ 20. Warszawa, dnia (8) 20 Maja 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
w Warszawie: kwartalnie . . rs. 1
Za odnoszenie do domu *kop. 10.*
Z przesyłką pocztową: kwartalnie . rs. 1.25; półrocznie . „ 2.50; rocznie . . „ 5.—
Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie flor. 1.80, Na prowincyi flor. 2.20.
Agencye główne na Galicyę: we **Lwowie Księgarnia Polska** Plac Maryacki 11; **w Krakowie** księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego.**
W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60 lub walutą zagraniczną podług kursu.
Za zmianę adresu kop. 15.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz **petitu** jednoszpaltowy lub jego miejsce **kop. 12** „**Nadesłane**“ wiersz garmontu **kop. 50.** Ogłoszenia przyjmuje **Administracya pisma** i wszystkie **biura ogłoszeń warszawskie** i znaczniejsze zagranicą.
Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna 26.
TELEFON 106.

Juliusz Zeyer.

Trzy legendy o krucyfiksie.

przełożył z oryginału MIRIAM.

III.

Samko Ptak.

Legenda Słowacka.

(Dokończenie).

Zrobiło mu się tego wyrzuconego obrazu Bożego serdecznie żal. Postawił go przy ścianie, umył, oczyścił, a potem wyporządził też całą komórkę. Naznosił choiny, naplótł z niej wieńców, rozwiesił je po ścianach, wysypał podłogę kwieciem polnem, i komórka nędzna zmieniła się w jakąś leśną świątynkę. Otworzył okno i światło strumieniami do wnętrza się polało, a ptaki jęły wnet ciekawie siadać na podmurówce i szczebiotać tak słodko, jakby Chrystusa Pana bawić chciały, na co Samko z zadowoleniem się uśmiechał. Kląkł i gorąco wpatrzył się w figurę Ukrzyżowanego. Twarz jej była sina, smutna, zmęczona, oczy zagasłe, czoło poplamione wielkiemi kroplami krwi, ciało tak wynędzniałe iż wszystkie żebra znać było, a z kolan tryskała krew. Oblicze było głęboko wyraziste; i było nieskończenie wiele zapału i prostoty w pojęciu i wykonaniu tego krucyfiksu, ale wysokie znaczenie wewnętrzne i wartość tej sztuki pojmowała już doba ówczesna równie mało, jak mało ci mnisi prości serce Samka ocenić zdołali. Ta wielka prostota wszakże była właśnie dla Samka dostępna, mówiła potężnie do jego tak głębo czującej, a względem świata tak naiwnej duszy. Płakał nad tą męką, a razem płakał nad tem opuszczeniem krzyża w gruzach, w prochu zapomnienia. Figura, która tak patrzała i tak zdawała się cierpieć, miała dla Samka duszę. Nie umiał już o czem innem myśleć, jak o tym żywym Boga obrazie, czy to idąc po drzewo do lasu, czy pracując w ogrodzie. Po obiedzie mnichów, przyszedł kiedyś do komórki ze swą miską i siadł na progu, Ale z żalu nie mógł jeść. Czyliż nie zdawał się ten Chrystus na krzyżu z głodu wybladłym? Samko oniemiał z boleści. Wstał i jak we śnie wszedł do ciemnej komórki. Podniósł bojaźliwie ku Ukrzyżowanemu pełne łez oczy, a usta jego szeptały nieśmiało: — Biedny, zapomnieli o tobie! Czy nie dręczy cię głód? Jesteś taki blady, taki blady!

— I oślepiony prawie łzami, podniósł naczynię ku Zbawicielowi i rzekł:

— Gościu drogi, jedz, proszę!

I pochylił drewniany Chrystus swą umęczoną twarz, rozjaśnioną nagle niewymownie słodkim uśmiechem, usta Jego dotknęły pokarmu — i Pan spożywał to, co mu prostocie serca podanem było. Samka ogarnęła nieznana błogość. Od tej chwili dopiero wiedział, co to jest pełne, wielkie, niezmierne szczęście. Serce jego otworzyło się, jako róża wonna, dusza jego rosła, jako nieskończoność niebios i jako ona pełna była gwiazd! Dzień w dzień teraz klęczał przed krzyżem i wylewał skarby swych uczuć, zapoznanych u ludzi, pod stopy Zbawiciela, niby drogie Wschodu balsamy. Słowa, jakich nigdy nie był słyszał, przychodziły mu na usta, śpiewy piękniejsze od najpiękniejszych pieśni słowiczych, brzmiały mu w piersiach i znajdowały dla się wyraz ludzki; zapał potężniejszy nad skrzydła orłów i wichrów, porywał go na wyżyny lazurowe, kędy dyamentowe światy krążyły, i cała niezmierzona głąb tych niebios znalazła miejsce w granicach łona tego człowieka, którego przyjacielem był Chrystus! A Chrystus, który wszystkie światy w dłoni trzyma, dla którego wielkości ludziom odpowiedniego brak pojęcia, był codziennie gościem prostego Samka, jadał codzień z uśmiechem z jego miski. Teraz zaiste nie było dziwu, że Samko mniemał, iż był w raju, i że wszędzie, w ogrodzie, w lesie, na korytarzach klasztornych, z zapałem nieustannie sobie powtarzał:

— Ciernista była ścieżka moja, ale doszedłem nią do niebios!

Posłyszeli to ludzie i śmieli się zeń, im dalej, tem bardziej, ale on o tem nie wiedział.

I zawitali jednego dnia trzej obcy biskupi do klasztoru, gdzie ich świetnie goszczono. Były teraz codzień wielkie gody, i pewnego razu opowiadać jęli mnisi przy biesiadzie o Samku, jak to on myśli że jest w raju, i jak ich za świętych bierze. Śmiech był wielki, i jeden z biskupów zapragnął widzieć prostaczka. Wstawano właśnie od stołu, aby iść szukać w ogrodzie cienia pod szumiącemi drzewami i chłodu u wód bijących. Szli wszyscy koło komórki, gdzie Samko właśnie z Chrystusem rozmawiał i strawą z nim się dzielił. Jeden z mnichów posłyszał i poznał głos Samka, dał znak, aby wszyscy zamilkli, i towarzystwo całe zbliżyło się do drzwi komórki, które przeciag otworzył.

Samko obrócony twarzą do krucyfiksu nie widział drzwi, i nie wiedział, co się za nim dzieje. Ale biskupi i mnisi, przygotowani na śmiech, padli na twarze, rażeni zdumieniem, gdy ujrzeli Chrystusa na starym krzyżu. Najbielsza światłość biła odeń, głowę miał pochyloną ku Samkowi i mówił mu właśnie:

— Dość długo byłem gościem u ciebie, w twym raju, Samku mój, teraz ty będziesz gościem u mnie, w moim raju, gdzie na wieki ze mną zostaniesz!

Samko uśmiechnął się błogo, a usłyszawszy jednocześnie za sobą szmer padających na kolana mnichów i biskupów, obejrzał się.

I wszyscy zdumieli się, jaki Samko był piękny. Miał oczy jako gwiazdy, włosy jako słońca promienie, a lice wyszlachetnione dobrocią nieskończoną i tą bladością, świadczącą o wielkiej abnegacyi całego żywota, o długich, cierpliwie znoszonych cierpieniach. Wszyscy mieli łzy w oczach i wszyscy dziwili się, że tacy dotąd byli ślepi! Bielmo spadło im z oczu, i poznawali naraz, jak wysoko nad nimi wszystkimi stał ten prosty, wierzący, gorąco a z prostotą miłujący Samko. I weszli do komórki, i kłaniali mu się, i padali przed cudownym krucyfiksem na twarz. Ale Samko ich nie rozumiał, oczy jego błądziły, dusza gotowała się w drogę do owego raju, dokąd wołał go ku sobie Chrystus, Pan nasz najsłodszy! Biskupi podtrzymywali opadającą głowę Samka, a przeor klasztoru rzekł uroczyście:

— Umierasz, i nie możemy ci już oddawać czci winnej! Jakże radzibyśmy cię teraz na rękach nosili! Niech dusza twa oręduje za nami przed Bogiem! Ciało twe nam zostanie, i ślubujemy ci, że wystawimy pomnik z marmuru i złożymy je tam, odziane w złotogłowie!

Ale umierający Samko potrząsnął głową!

— Pochowajcie mnie na rozdrożu — rzekł cicho—bez krzyża i napisu, bez deski i mogiły. To ostatnia moja wola.

Potem ucichł. Z ust zaszemrał mu cichy świegot ptasi. To było ostatnie jego westchnienie. Nie poruszył się już. Ale ściana poza nim znikła i mnisi ujrzeli tam niebo tak ciemno-szafirowe, że aż czarne przez głąb swą. Najgęstszy deszcz czarodziejsko pięknych gwiazd tam padał, a w migotaniu tem świateł, w niezmiernej dali, unosiło się białe widziadło Zbawiciela. Było to, jakby jasne upostaciowanie świętego uśmiechu. Boskie widzenie skinęło, jakby przyzywając ku sobie, i oto, pośród gwiazd padających, ścieżyną porosłą już nie cierniem, lecz liliami, unosiło się widmo Samka, wdzięczne, jako woń kwietna—białe, jako promyk—powietrzne, jak ptak.

Całą noc strawili mnisi na modlitwach. Rano odzieli ciało tego, który duszą z Chrystusem był, w białą szatę i pochowali je na rozdrożu, jak Samko sobie życzył. Wspominali niebiańsko-czysty uśmiech, smutny a wzruszający, z jakim ostatnie to życzenie wymówił, i próżno pytali jeden drugiego, czemu właśnie tak chciał ten człowiek, miłowany od Boga, zapoznany od świata. Nie odgadli. Nie odgadli, że dlatego tak chciał, bo w ostatniem okamgnieniu swego istnienia ziemskiego, jak w błyskawicy nagłej, całe swe życie i znaczenie jego zrozumiał. Chciał, aby po śmierci, tak po sercu jego deptano, jak deptano po niem przez życie całe. Toć krzesały bezwiednie wszystkie te po nim depczące nogi twardemi swemi uderzeniami skry z serca jego, skry miłości, z których zapłonęła w jego łonie jasność świecąca mu w pomroce cierpienia na ścieżce cierniowej, która go zawiodła do raju!

Z PRASY.

Nie da się powiedzieć, aby kobiecie poświęcił „Poseł Prawdy“ ostatni swój feljeton.

Pod wyrażeniem: poświęcić coś komuś, nauczyliśmy się rozumieć zazwyczaj, jeśli nie hołd, albo pewien stopień uznania dla jednostki czy zbiorowości, to przynajmniej taki rodzaj oceny, któraby w summie nie mieściła bardzo surowej krytyki, jakiegoś ostrego sądu wystosowanego pod adresem pewnej społecznej grupy, typu rozpowszechnionego—jakiejś moralnej osoby streszczającej w istocie swojej właściwości rodzaju lub płci.

Taką zbiorową osobę, taki typ kobiety aktualnej wraz z jej charakterystyką, podaje w artykule swoim „Poseł Prawdy.“ Mówi czem być może, czem być powinna, a czem się stała w ustroju społeczeństw dzisiejszych; wskazuje na dostępne dla jej ducha wyżyny, na dobrodziejstwa, któreby spłynąć mogły dla ludzkości z jej rąk, a wraz z tem kreśli obraz tej, która żyje wśród nas, tej, o którą ociera się każdy w życiu codziennem po kilkakroć na dobę — obraz, powiedzmy to odrazu, nieprzyjazny, tak, że ktoś, biorący rzecz powierzchownie, gotówby zapytać azali poza nim wolno nam się domyślać jakichś wyjątków rzadkich, jakichś białych kruków, zresztą ani rehabilitujących sobą rodzaju, ani dozwalających marzyć o rychłem odrodzeniu.

Ale nie uprzedzajmy streszczeniem ani ekspozycyi przedmiotu, ani wniosków, do jakich dochodzi autor; idźmy raczej porządkiem za jego zapatrywaniami na kobietę współczesną.

Zaczyna „Poseł Prawdy“ od błogosławieństw dla chmurnej, dżdżystej i zimnej wiosny tegorocznej. Ta pora nieprzyjazna zdrowiu ludzkiemu, a szkodliwa dla pracy rolnika, miała jednakże w sobie, jego zdaniem, to dobrego przynajmniej, że przeszkodziła popisowi toalet sezonowych, pozwalając tym sposobem mężczyźnie ominąć widok jednego z dococznych targowisk próżności, na którem króluje niestety jego towarzyszka życia. Bo też poza światem roślin, niema istoty żywej, któraby się tak ześrodkowywała w każdej chwili bieżącej, jak się potrafi ześrodkować kobieta typowa, kobieta dzisiejsza. Taka, jaką widzimy dokoła, umie wyzyskiwać najniższe instynkta mężczyzny, aby przy ich pomocy zdobyć owoce jego pracy. Popiera autor to oskarżenie swoje faktami, wziętymi z życia, których był świadkiem naocznym; maluje nader jaskrawo dolę męża i ojca rodziny, zapracowanego nad siły, zdobywającego grosz ceną zdrowia i godności własnej, maluje człowieka, który mógłbył widokiem swoim wywołać litość najobojętniejszych, a nie mógł się tej litości dokupić u własnej żony i dwóch dorosłych córek. „Bierz zkąd chcesz, byleś dostarczył na strój i zabawę!“—oto czego żąda kobieta opanowana przez szał gałganków i fraszek. Z jakiej krwawicy zszyte będą te stroje, jakie komentarze możnaby dodać do pochodzenia tych kwiatów i zwojów tych różnych pajęczych tkanin, ile na ten blichtr dostatku złożyło się zaniedbanych obowiązków, ustępstw dla honoru—ile hańby, łez i sromoty, o tem wiedzą tylko sumienia winowajców a nie winowajczyń. Ta jednak nieciekawość ze strony kobiety dowiedzenia się, z jakich źródeł napełnia się róg obfitości, z którego czerpie ojciec lub mąż, ta nieciekawość, a raczej to rozmyślne ignorowanie, stanowią uwieńczenie i cynizmu i tyranii.

To też sentencya francuzka „szukaj kobiety“ tam gdzie przestępstwo, nie jest bynajmniej frazesem wysnutym z wyobraźni powieściopisarskich, ale owocem gorzkiego doświadczenia i należytego wniknięcia w motywy i pierwsze przyczyny czynów występnych, co zresztą nawet historya ostatnich, na gruncie galicyjskim spełnionych krachów i przeniewierstw, ma podobno stwierdzać w zupełności.

Tak jednakże, jak z jednej strony zawdzięcza kobiecie mężczyzna wszystkie prawie swoje nędze i upadki—swoje rozpacze i sromoty, tak z drugiej winien on jej bywa najczystsze natchnienia swojego ducha, swoje czyny najszlachetniejsze, i najpodnioślejsze twory swego geniuszu.

Oczyszczona z domieszek samolubstwa, wolna od zamiłowania błahostek i próżności tuzinkowej, staje się kobieta prawdziwym klejnotem życia, prześlicznym tonem w jego harmonii. Jej umysł, to piękny i oryginalny kryształ, w którym odmiennie, niż w mężkim, łamią się promienie prawd i uczuć. Świat widziany za pośrednictwem jej duszy, ukazuje nam całkiem nowe strony i obrazy, których z wszelką pewnością, nie dostrzeglibyśmy bez tego pryzmatu. Dlaczegóż tedy, oprawiając go w kosztowne ramki, tworzymy zeń tylko błyskotliwy przedmiot zbytku, kiedy umiejętnie zużytkowany, mógłby nam się stać niejako soczewką, skupiającą promienie życia.

Tak zwana przez powszechność emancypacya kobieca, to zdaniem „Posła Prawdy“ nie żadne strzyżenie długich włosów—nie wszczepianie w czystą a powściągliwą naturę niewieścią upodobań i nawykneń męzkiej rubaszności, to jest wielka sprawa porządku moralnego, umysłowego, a w końcu i ekonomicznego także. Pojęta należycie i szczerze zastosowana w życiu, zmniejsza ona w każdem pojedynczem ognisku domowem brzemię trudów mężczyzny, pozwala mu być zdrowszym, uczciwszym, mniej poniżonym i ogłupionym przez zabiegi o kawałek chleba—o ten szmat kosztowniejszej czy modniejszej tkaniny.

Rozszerzenie u kobiety wiedzy, pogłębienie uczuć, podniesienie poziomu dążeń i celów, stanie się tak samo dobrem mężczyzny, jak kobiety, niechaj więc i mężczyzna i kobieta dołożą całych usiłowań swoich, aby w jak najbliższej przyszłości, ta, na której udoskonaleniu tak wiele zależy społeczeństwu, jak najrychlej przestała mieć: świątynią swoją sklep—kapłanem krawca, a wskazania mód ewangelią.

Te myśli, te przestrogi i życzenia wypowiada w artykule swoim „Poseł Prawdy.“

Czy wolno jest kobiecie żywić żal za słowa podobne? Czy godzi się powiedzieć jej, że to mówi sędzia stronny albo surowy ponad miarę?

Naszem zdaniem, to głos szczerze pragnący dobra, to są słowa nie potępienia dla kobiety, ale jej obrony—obrony przeciw wadliwym kierunkom, ku którym lekkomyślniejsze żywioły wloką społeczności dzisiejsze—słowa obrony przed mężczyzną, schlebiającym próżności kobiety dla zrobienia z niej swego bawidełka, obrony wreszcie duszy kobiecej, przed nią samą, przed jej krótkowidztwem i nieprzewidywaniem, bo krótkowidztwem i brakiem przewidywania, nazwać można niemowlęcą apatyę pewnych grup i sfer niewieścich, utrzymania w życiu biernej roli, wobec haseł, które coraz szersze zastępy kobiet ciągną pod swoje znaki. Jakimkolwiek nakoniec wydać się może komuś sąd taki na razie, będzie musiał przyznać każdy po głębszej rozwadze, że w tych nawet słowach gorzkiej prawdy, więcej jest zrozumienia i pragnienia ogólnego dobra, więcej zwłaszcza czci dla prawdziwej kobiecości, aniżeli we wszystkich razem nizkich pochlebstwach, którémi karmią kobietę tuzinkowi czciciele jej fizycznego powabu.

Wreszcie o co nam osobiście chodzić może w tej sprawie? My nie potrzebujemy chyba brać tak dalece do serca typu niewieściego, który nam w tak dosadnie ujemnych barwach przedstawiają ludzie poważnego sposobu myślenia, a jeśli czujemy dobrze, że istnieje on faktycznie i na naszym gruncie także, to nie ręce łamać, ani rozpaczać nam z tego powodu, ale poprostu podtrzymywać kobietę na drodze, którą idzie większość, a która najskuteczniej zabezpieczyć ją powinna przeciw wszelkiemu modernizowaniu się w duchu, przez ujemne wpływy naszej cywilizacyi wytworzonym. Co do tego, czego społeczność nasza po kobiecie swojej spodziewać się może, nie stoimy chwała Bogu na rozdrożu żadnem, ani się widzimy zmuszonymi wytwarzać jakiejś, tak zwanej, kobiety nowej, tem mniej wzorować się pod tym względem albo zapożyczać u obcych. Bogatą jest bliższa i odleglejsza przeszłość nasza w podniosłe postacie niewieście, z których dumnymi być mamy wszelkie prawo, a więc nie starajmy się tworzyć, nie improwizujmy — owszem prowadźmy dzieło rozwoju w duchu właściwości wziętych w spuściźnie, kojarząc je rozważnie ze słusznemi i rozumnemi wymaganiami epoki, od których żadna społeczność i żadne pokolenie wyłamywać się nie może. Cały nacisk jednakże kładziemy na to, aby się nikt tutaj fundamentów ruszać nie ważył, aby się żadnemu nowatorstwu nie zamarzył jakiś rodzaj pracy od podstaw, bo my tylko na starym dorobku się opierając, jak najskuteczniej przeciwdziałać możemy tym niepożądanym zboczeniom, które, jak słusznie powiada „Poseł Prawdy," z mężczyzny robią niewolnika jego niewolnicy, i ofiarę jego ofiary.

S.

TEATR

H. Ibsen: Dzika kaczka.

(Dokończenie).

Mała marzycielka decyduje się na spełnienie krwawej ofiary, którą okupić ma miłość ojca. Porywa pistolet, i biegnie na strych. Ale kierowana współczuciem dla dzikiego ptaka, czy niemożnością dokonania czegoś, w rodzaju morderstwa, przeciw własnej biednej piersi zwraca śmiertelny strzał. Może wreszcie dzieje się to przypadkiem. Autor pozostawił rzecz niewyjaśnioną. Ze względu jednak na charakter dziewczęcia, pierwsza hypoteza wydaje się prawdopodobniejszą.

Nasuwała się tu Ibsenowi możność stworzenia cudownej sceny, interesującej pod względem psychologii, wzruszającej do wysokiego stopnia nerwy słuchaczy—sceny łamania się z sobą tej duszy dziecięcej. Ale Ibsenowi więcej chodzi zawsze o doktrynę, niż o sztukę, więcej o konsekwentne przeprowadzenie swojej teoryi, niż o wzruszenia natury estetycznej. To też wolał usunąć Jadwigę w ostatniej chwili na strych, a na scenę wprowadzić głupiego, niesmacznego jej ojca, wchodzącego powoli w ugodę ze swą obrażoną godnością małżonka i ojca.

Podczas, gdy tam na górze toczy się w ciszy walka, której tragiczne zakończenie publiczność przeczuwa, tutaj ten płaski fotograf odgrywa lichą komedyę; najpierw daje się żonie pociągnąć śniadaniem, potem skleja zapis, zrobiony przez starego spekulanta na rzecz Jadwigi, a który w przeddzień podarł był sam w szlachetnem uniesieniu. Ta scena budzi gniew w widzu i śmiech gorzki, i pogardę dla ludzi. O wywołanie tych uczuć chodziło przedewszystkiem autorowi.

Strzał przerywa tę humorystyczną napoły scenę. Dziecko padło ofiarą reformatorskich zapędów idealisty, egoizmu ojca, i splamionej przeszłości matki.

Ojciec wita jej zgon deklamatorskimi frazesami, matka cichym płaczem, niefortunny czyściciel bagnisk rodzinnych rozpaczliwem osłupieniem.

Skończone!

A teza? Tezę rozwija Ibsen w scenie między młodym Werle a dr. Rellingiem.

Ci ludzie, to nie ludzie, a dwie przeciwne sobie zasady.

Doktór leczy, a przynajmniej utrzymuje przy życiu ludzi, zadając im większe lub mniejsze dozy kłamstwa, które oni asymilują z łatwością i zowią swymi idealami życiowymi. W skończonego pijaka, teologa Molwiga wmówił, że jest on naturą demoniczną. Tą suggestyą chroni go od rozpaczy i samopogardy, które wkrótce doprowadziłyby nędzarza tego do samobójstwa.

On to podsunął Hialmarowi Ekdalowi myśl o wynalazku w dziedzinie fotografii, on dostrzegł w nim geniusz wynalazczy, stworzył dlań w życiu cel, i uchronił do czasu od wglądania w dwuznaczną sytuacyę rodzinną. Jego to zdaniem właśnie człowiek przeciętny żyć bez kłamstwa nie może, i należy stworzyć dlań jakieś złudzenie, któremu oddałby się całą duszą.

Grzegorz Werle przeciwnie wierzy w ideał prawdy. Bezwzględnie tezę swoją stosując do życia, dochodzi do takich wyników praktycznych, jak ten, który oto przedstawiono nam na scenie.

Niepoprawny idealista, sprawca całego nieszczęścia, mniema jednak, że zgon Jadwigi nie przejdzie bez korzyści moralnej. Zdaje mu się, że ta śmierć dobyła z duszy Hialmara wszystkie wzniosłe pierwiastki, które tkwiły w niej na dnie, i powołała do życia. Pessymista Relling odpowiada: „Tak, tak—wzniosłymi prawie wydają się nam ludzie, gdy pełni bólu stoją przy zwłokach. Ale jak pan sądzisz—jak długo potrwa ten podniosły nastrój?

Werle. Dlaczegoż nie miałby trwać całe życie i wzmagać się?

Relling. Nim rok upłynie Jadwiga będzie dlań już tylko pięknym tematem do deklamacyi.

Werle. Tego panu nie wolno mówić o Hialmarze!

Relling. Powrócimy do tej rozmowy, gdy na grobie Jadwigi pierwsza zieleń uwiędnie. Posłyszysz pan wtedy, jak on artystycznie szlochać będzie nad „dzieckiem wydartem przedwcześnie rodzicielskiemu sercu," zobaczysz, jak się wzruszeniem własnem, podziwem nad samym sobą i żalem nad samym sobą zabalsamuje. Daj pan pokój temu!

Werle. Jeżeli pan masz słuszność, nie ja, tedy życie nie warte jest życia.

To pessymistyczne zakończenie należałoby uzupełnić: życie nie warte jest życia, jeżeli z niego wykluczony ma być pierwiastek miłości.

A obydwaj ci panowie nie kochają ludzi, lecz na zimno pragną naginąć ich do swoich teoryi. Werle nie zdziera katarakty złudzeń ręką dobrotliwego, pełnego współczucia lekarza, idzie on do celu z uporem i bezwzględnością maniaka. Co do doktora Rellinga, nie z miłości chyba, nie z pobłażania dla niedostatków biednej natury ludzkiej, lecz dla eksperymentu szczepi on w ludzi swoje kłamstwa-ideały.

Nie dziw, że rodacy Ibsena nie są mu wdzięczni za obrazy na tle rodzinnego społeczeństwa kreślone. Nie w dodatnich wychodzi ono rysach pod jego piórem.

Ostatecznie prócz Jadwigi, dzikiego ptaszka, niepotrzebnie zabłąkanego na ziemię, niema w całej sztuce ani jednej postaci, na której z zadowoleniem zatrzymaćby można myśl! Najsympatyczniej przedstawia się jeszcze główna obwiniona, Gina (żona Hialmara). Jej życie pełne pracy, abnegacyi, poświęcenia, przywodzi na myśl słowa poetki naszej, zawierające w sobie o wiele zdrowszą filozofię życia, niż Ibsenowska:

A za grzech własny jest i pokora,
Jest do poświęceń chęć bardziej skora,

Jest pobłażanie drugim cierpliwsze
I są pokutne cnoty gorliwsze.

Zastanawiano się podobno nieraz, komu właściwie przyznawał słuszność Ibsen, czy zwyrodniałemu idealiście, czy zdrowemu doktorowi—przez czyje usta wypowiadał, paradoksalny w każdym razie, pogląd swój na życie.

Nam się zdaje, że w Ibsenie tkwią obaj ci ludzie. Ma on w sobie i idealny polot w czyste ale chłodne jak noc skandynawska, sfery bezwzględnej prawdy, ma bunt przeciw życiu opartemu na fałszach, ale ma też i gorzki śmiech pogardy dla nędzy ludzkiej i przekonanie, że hołotę tę należy pozostawić w bagnie, w którem nurzając się po szyję, jest szczęśliwą, ale niema w nim, jak w nich, ani miłości, ani przebaczenia.

H. C.

Z za rzek i mórz.

Wielkie święto pokoju przygotowywa na uroczystość Zielonych Świątek Unia Amerykańska, a to z okoliczności ratyfikacyi urzędowej warunków pokoju, zawartego z Hiszpanią. Festyny będą mieć miejsce w Nowym Yorku, a otworzy je wielkie, oficyalne przyjęcie w białym domu u prezydenta Stanów w dniu 23 Maja.

Na datę 24 t. m. przypada według programu obchód majowy dzieci wszystkich szkół rano, a popołudniu wielki korowód historyczny. Wypełnić go mają epizody wojen prowadzonych przez Unię Amerykańską, a zatem: wojna o niepodległość, wojna z Anglią w latach 1812—1815, potem wojna Północy z Południem, a nakoniec szczególnie illustrowanemi będą ostatnie bohaterstwa kampanii prowadzonej z Hiszpanią. Będzie tedy wojna w obrazach i parady wojsk w historycznych kostyumach. Mówią o takim obrazie, przedstawiającym Waschingtona w otoczeniu wszystkich generałów, uczestników niezapomnianych walk powstającej nowej społeczności z pod przemocy W. Brytanii. Będzie i Andreas Jackson i bohaterowie bitwy nad jeziorem Erie, a nakoniec z ostatnich tryumfów zdobycie Santjago. Jest też na porządku jakiś popis retoryczny, w którym przyjmą udział pierwszorzędni mówcy Stanów Zjednoczonych, a zakończy festyny trzech dni i trzech nocy jeden akt z „Balu maskowego“ w olbrzymich przestworzach Halli Clarendona. Ma to być przedstawienie „monstre,“ na które bilety wejścia na galeryę sprzedają się dzisiaj po 5 dolarów. Czy jednakże, zapytuje złośliwie „Berliner Tagblatt,“ nie będzie tam w onych mowach wzmianki jakiej o adoptowanych w drodze lekkiego przymusu nowych obywatelach filipińskich, i o humanitarnych względach, zachowywanych w dzisiejszym systemie wojowania?

Zapytanie jest właściwe, ale czy przystoi stawiać je „Tagblattowi?“ Za dni naszych, jak się pokazuje, na wiele zapytań kłopotliwie byłoby odpowiadać najbardziej tym samym, od których one pochodzą.

Jak zacieśnia przed człowiekiem horyzont widzenia suche, zimne, czysto racyonalistyczne traktowanie wszelkich, choćby nawet najbardziej złożonych objawów życia, niechaj posłuży jako dowód wynalazczość francuzka wobec stwierdzonego faktu zmniejszania się z roku na rok ludności czysto krajowego pochodzenia. Nie powinno dziwić nikogo, że sfery zdolne ogarnąć ogrom niebezpieczeństwa zawisłego nad losami Francyi, mogą być w najwyższym stopniu zaalarmowane, bo istotnie złowróżbny ten symptom jaskrawo bardzo zarysował się odrazu, ale z drugiej strony przyznać należy, że niektóre z obmyślanych środków zaradczych stanowić mogą materyał dla jednej jedynej tylko humorystyki, i to nawet niezbyt wybrednej. Oto pan Bertillon, który jest przecież dyrektorem paryzkiego urzędu statystycznego, taką na ten objaw zgrzybiałości przepisuje francuzom receptę administracyjno-fiskalnej natury. Doradza on mianowicie wprowadzenie nowego podatku, którego kontrybuentami byliby: a) kawalerowie w ilości 50 franków rocznie, b) bezdzietne rodziny, jako dźwigające na sobie winę mniejszą, tylko 40 fran. c) rodziny mające tylko jedno dziecko 30 franków, d) tylko dwoje dzieci po 10 franków. Rodziny obdarzone trojgiem potomstwa nie płaciłyby podatku osobistego, a wolnemi od wszelkich podatków i ciężarów państwowych byłyby małżeństwa o 5 gu dzieciach. Pan Bertillon poręcza, że tym sposobem klęska zagrażająca wyludnieniem w samym zarodzie przecięta zostanie.

Jest to niewątpliwie właściwością narodu francuzkiego zachowywać umysł pogodny i mieć na ustach słowo wesołe wśród najtrudniejszych okoliczności, ale tutaj ten pan Bertillon zdaje się trochę przebierać miarę wesołości, zważywszy, że sprawa jest w istocie bardzo poważna. Chyba... chyba żeby miał mówić seryo, ale w takim znowu wypadku, jak może zabierać głos w kwestyi tak doniosłej i ukrywającej w głębi swojej tyle zagadnień, tyle nierozwiązanych przez naukę tajemnic, człowiek tego stopnia naiwności, i jak może poważny organ naukowy pomieszczać jego urzędnicze bredzenia.

Prawa biologiczne są dotąd dla uczonych białą kartą, na której daj Boże, aby przyszłość dużo miała do napisania, aleć przecie jeśli w jakiej sferze pojęć szukaćby należało środków zaradczych na takie, powiedzmy poprostu, nieszczęście, to chyba w sferze praw moralnych bytu, które dla dobra wstępującego wyraźnie w fazę degeneracyi narodu, należałoby usiłować zmienić na tyle, iżby wzmocniły one siłę żywotną fizycznego i psychicznego ustroju człowieka, aby mu dały, jeśli to się okaże możebnem jeszcze, ten wigor, którym się cieszą szczepy i plemiona mniej przeżyłe i nie zdradzające tylu zewnętrznych nawet oznak zwyrodnienia.

Groza zapłacenia 50 franków kary ma człowieka popchnąć do zawarcia małżeństwa! To chybaby trzeba przekonać tego przyszłego płatnika, że samo małżeństwo wraz z tem wszystkiem, co za sobą pociąga, kosztować go będzie rocznie tylko 45 franków. Humorystyka!

Pod datą 4 Kwietnia obradował w Paryżu kongres międzynarodowy oddziaływania przeciw alkoholizmowi. Udział przyjęli jako przedstawiciele wszystkich państw delegowani urzędowi, a oprócz nich przybyło mnóstwo osób, pracujących teoretycznie nad uwolnieniem ludzkości od tej plagi niszczącej.

Czynności kongresu rozdzielono między trzy sekcye. Pierwsza z nich zajęła się rozpatrzeniem zagadnienia, jakie prawa najskuteczniej współdziałają w walce z pijaństwem. W drugiej, którą możnaby nazwać lekarską, zbierano dane naukowe, dotyczące szkód, jakie alkohol w rozmaitych przetworach zawarty, albo bezpośrednio użyty, zdrowiu ludzkiemu wyrządza, niemniej roztrząsano środki i metody naukowe przeciwdziałania nałogowi, i leczenia dotkniętych nim ofiar. Sekcya trzecia, właściwie mówiąc pedagogiczna, zajęła się zebraniem tego co doświadczenie, uznać nakazuje jako godne zastosowania w wychowaniu, które jeśli ma działać zapobiegawczo, powinno być w założeniu swojem ściśle przeciwalkoholicznem.

Mówiono też o urządzeniach państwowych, sprzyjających rozwojowi pijaństwa, albo zmierzających bezpośrednio do położenia mu tamy, dyskutowano jako kwestyę zasadniczą, co skuteczniej przyczynić się może do zażegnania złego: ograniczenie używania alkoholu, czy zupełne wykluczenie go w życiu, przyczem okazało się udowodnionem, że tylko całkowite pozbycie się bezpośredniego użycia wódki zapewnić może zwalczenie tego najpewniejszego ze środków prowadzenia ludzkości ku zwyrodnieniu. Wojskowi, którzy dowodzili oddziałami w klimatach najbardziej zabójczych, doszli do przekonania, że tylko całkowitem odmówieniem żołnierzowi użycia spirytusu, zdołali utrzymać szeregi w stanie zdrowia pożądanego. Reprezentanci stowarzyszeń zdawali sprawę z działalności swojej w duchu wstrzemięźliwości, duchowieństwo zarówno katolickie jak protestanckie przedstawiało rezultaty swojego uczestnictwa i zbawcze skutki dla moralności tam, gdzie z użyciem napojów spirytusowych zerwano stanowczo. Jednem słowem walka jest zacięta, ale i nieprzyjaciel trzyma się mocno. Najnieprzystępniejszą z jego warowni pozostaje dotąd Belgia, jak to zresztą wiadomo powszechnie.

Jeśli co zadziwić może niekiedy, to zadziwienia pewnych jednostek, a nadewszystko pewnych sfer, które przy wznowieniu jakiegoś dawno przebrzmiałego faktu, jakiegoś epizodu historycznego znanego i skomentowanego należycie, wreszcie przy ogłoszonej drukiem charakterystyce osobistości, jednozgodnie, jednomyślnie i od dawna osądzonej, wybuchają zdumieniem, jak gdyby po usłyszeniu jakiegoś bluźnierstwa, albo rewelacyi rzeczy nowych i niebywałych.

Do takich wykrzykników dała powód niewiadomo zkąd i dlaczego wydana przez Fryderyka Massona monografia historyczna Józefiny Tacher de la Pagerie primo voto żony Generała Beauharnais, secundo cesarzowej Francyi, dzięki należycie odpokutowanemu kaprysowi generała Bonaparte. Mówimy wyraźnie „odpokutowanemu,“ bo pokutą ciężką stało się dla tego genialnego człowieka pożycie z kobietą przeszłości jeśli nie awanturniczej, to przynajmniej wielce zagadkowej, kobietą umysłu najpłytszego, jaki sobie w tej

sferze towarzyskiej wystawić można, w dodatku mającej ducha intrygi i frymarku w najgorszym smaku, bezmyślność i lenistwo kreolskie, i wogóle najpospolitsze instynkta, nie kwalifikujące jej w żadnym razie ani na żonę wybitnego człowieka, ani na monarchinię. Co tylko w pojęciach ludzi rozumnych stanowi wyższość kobiety, tego wszystkiego żywem zaprzeczeniem był charakter, rozwiedzionej ostatecznie z mężem cesarzowej francuzkiej. Marnotrawstwo z gatunku szalonych, kłamstwo w życiu ze wszystkimi, okłamywanie męża przy każdej sposobności, poziome handlarstwo, nicość umysłowa, braki naturalne, niedopuszczające tej kobiecie dostrojenia się do wysokiej roli, jaka jej z woli kapryśnego losu dostała się w udziale — wszystko to wniosła ona ze sobą do małżeńskiego pożycia ku udręczeniu tego męża niezrównanej dumy — wszystkiem tem przymnażała mu codziennego tuzinkowego kłopotu, którego i bez niej miał przecież nad miarę ze strony własnej parweniuszowskiej rodziny. Wszak to są rzeczy znane, po sto razy powtarzane, stwierdzone przez poważne pamiętniki współczesnych ludzi, to są już fakta historyczne, to zachowanie się Józefiny Beauharnais, nietylko w epoce porozwodowej, ale i po abdykacyi Napoleona I-go.

Nie jesteśmy dobrze świadomi tego, w jaki sposób powitała zagranica studyum historyczne Fryderyka Massona, myślimy wszakże, że chyba nie wywołało tam ono tak naiwnych komentarzy, z jakimi spotykamy się w naszej prasie. W jednem naprzykład z pism czytamy z tego powodu:

„Każdy z nas z podręczników historyi wyniósł zapewne wrażenie, że pani Beauharnais, cesarzowa Józefina, żona Napoleona I-go, była istotą nieszczęśliwą a dobrą, którą dla racyi stanu poświęcił ambitny małżonek...“

A to dopiero materyał historyczny, który się gromadzi z podręczników szkolnych, to powaga, wiarogodność i źródłowość! W podręcznikach miała się znaleźć charakterystyka takiej kobiety, jak Józefina Beauharnais!

A w innem miejscu tego samego artykułu: „Dzięki dziełom pana Massona „dobra“ aż do dziś dnia Józefina przemieniła się niespodziewanie w próżną kokietkę zdradzającą męża i t. d., i t. d.“

Najprzód zkąd: dobra? Zapewne z intytulacyi w listach, używanej stale przez Napoleona, który, jak wiadomo pisał do niej zawsze: „Moja dobra Józefino!“ Inne źródła nie mówią o dobroci i żadnych jej śladów niema, bo i to jest niewątpliwem, że ani była, ani mogła być dobroczynną. Wreszcie, chociaż dobroczynność wszystkich rozrzutników nie może być braną za dobroć, to jeszcze prócz tego znanem jest powszechnie, że jakkolwiek niechętnie bardzo płacił Napoleon długi żony, ale płacił, i że to były długi zaciągane na stroje i kosztowności, które zmieniała i któremi frymarczyła z bezmyślnością kobiety Wschodu.

Szczególnych jednakże wiadomości historycznych poczerpnąć mogą z gazet dzisiejszych, niezmordowani a nieszczęśliwi ich czytelnicy!

R.

Automobilizm we Francyi.

Wedle tego, jak się rzecz przedstawia już dzisiaj, usługi starego, wiernego towarzysza człowieka—jego druha w trudzie bojowym, a niestrudzonego pracownika w czasie pokoju, coraz mniej będą pożądane. Automobilizm robi w głównych środowiskach — w stolicach i ogniskach przemysłu europejskiego, olbrzymie postępy, coraz energiczniej wypierając powóz zaprzężony końmi. Francya tym razem poszła dopiero śladem tej nowości za Niemcami i Belgią, ale obecnie Paryż cierpi już, można powiedzieć, na kompletny zawrót głowy w kierunku zatracenia starego środka lokomocyi miejskiej i zamiejskiej.

Pokrótce postaramy się streścić przyczyny, które się złożyły na popularność tych nowych wehikułów poruszanych siłą elektryczności.

A więc w pierwszym rzędzie pomieścić tu należy szybkość, z którą dawny pośpiech dający się osięgnąć przy pomocy koni, w żadne porównanie iść nie może. Automobil dziś już ma na drodze bitej szybkość pociągu pośpiesznego, a ten, który obecnie widzimy w użyciu, nie jest przecież ostatnim wyrazem ulepszenia w tym rodzaju.

Drugi wzgląd rozstrzygający w sprawie rozpowszechnienia się tego środka komunikacyi, stanowi cena, jaką publiczność płacić zań jest obowiązana. Otóż czteroosobowy powóz samochód zajęty przez dwie tylko osoby, kosztuje za kurs $1\frac{1}{2}$ franka, a za godzinę jazdy 2 franki, to jest tyle właśnie, co dorożka jednokonna. Trzy lub cztery osoby, zabierając miejsce we wnętrzu ekwipażu, opłacają za kurs 2 franki, a za godzinę jazdy $2\frac{1}{2}$ franka. Zestawmy to z szybkością, wygodą, możliwymi na przyszłość ulepszeniami i ewentualnem w razie poprawienia techniki, obniżeniem cen, a przedstawi nam się jasno, że wszelkie pierwszeństwo przed starą dorożką przysługiwać musi chyba automobilowi.

Teraz słów kilka co do tych szans spodziewanej taniości. Będą one zdaje się znaczne, bo dotąd nic niema stanowczo unormowanego dla przedsiębiorców we względzie chociażby kosztów, jakie ponieść wypadnie na sam motor. Każdy automobil potrzebuje dwóch akumulatorów, naładowanych elektrycznością na dobę. Otóż przedsiębiorstwa elektryczne nie ustanowiły dotąd ceny za siłę akumulatora; różnice są nawet bardzo znaczne, prawie że nieprawdopodobne, podajemy je jednakowoż na wiarę paryzkiego „Figara.“ Otóż informuje to pismo, że jedne towarzystwa żądają za akumulator dziennie 90 centymów, a więc niespełna franka, podczas gdy inne trzymają się pierwotnej ceny 6 franków za siłę tej samej wartości. Przedsiębiorca główny komunikacyi automobilami funduje podobno własny zakład elektrotechniczny, który mu pozwoli osiągnąć siłę nadającą ruch przy koszcie minimalnym.

Dotychczasową formę powozu poruszanego elektrycznością, stanowi małe lando. Jest ono podniesionem, albo otwartem wedle woli pasażera, a wszelkie zmiany w tym celu załatwia konduktor przy pomocy odpowiedniego mechanizmu w przeciągu paru sekund. Ponieważ piękna połowa paryzkiej ludności szczególnie popiera tę nowość, pomyślano przeto o jej wygodzie i uwzględniono wysokość modnych dzisiejszych kapeluszy damskich, które wewnątrz podniesionej budki mieszczą się z wszelką łatwością.

Oto więc już mamy trzy wielkie korzyści, jakiemi się odznacza nowy wynalazek: szybkość, stosunkowa taniość i wygoda a, wreszcie względy pań, co razem wzięte otwiera przed tym w istocie nader dowcipnym pomysłem, szerokie widoki powodzenia.

Idzie jeszcze o jeden warunek, a jest nim sam wygląd więcej lub mniej zadawalniający, co jest kwestyą, na paryzkim przynajmniej bruku, bynajmniej nie drugorzędną, zwłaszcza, że jak to nadmieniliśmy powyżej, automobil ma się cieszyć powodzeniem w sferach niewieścich. Otóż co do tego, to dotąd zostawia ten wózek nieco do życzenia podobno; mianowicie przedstawia się na zewnątrz nieco ociężale, a w dotychczasowym stanie techniki samochodu szkopuł ten nie jest, jak twierdzą do uniknienia. Zresztą jak we wszystkiem, tak i w tem trzeba coś pozostawić przyszłości.

Idzie jeszcze o kilka szczegółów dosyć ważnych.

Jednym z nich jest, jak się też po roku naprzykład używania samochodu w Paryżu, przedstawiać będzie rubryka strat i kosztów, powstałych z przypadkowych uszkodzeń? Dotąd znanym jest jeden jedyny taki wypadek, a strata, którą zawdzięcza mu przedsiębiorstwo, zdaje się być nie do przewidzenia na przyszłość, i katastrofy takie powtarzać się nie mogą. Rzecz polegała na tem, że konstruktorowie wiedząc, jak ważną kwestyą jest w ruchu wielkomiejskim możność szybkiego zwrotu lub każdochwilowego zatrzymania na miejscu ekwipażu, zbudowali regulator ułatwiający możliwie te czynności, ale zbudowali nadmiernie czuły. Trafiło się więc pewnego razu, że gdy wysiedli pasażerowie, konduktor, pragnąc także zejść na ziemię, połą surduta zaczepił regulator, który natychmiast puścił w bieg automobil. O zatrzymaniu nie mogło być oczywiście mowy; ekwipaż popędził ze znaczną szybkością i roztrzaskał się o pierwszą napotkaną przeszkodę. Szczęściem obeszło się bez wypadku z ludźmi. Zastosowany do regulatora kran bezpieczeństwa, uniemożliwia na przyszłość podobne wypadki.

Francya będzie mogła po jakimś dopiero czasie zrobić obliczenia, o ile koszta wypadków losowych przy zastosowaniu samochodów do komunikacyi miejskiej, okażą się większymi lub mniejszymi, niż te, które wykazują w rachunkach swoich wielkie towarzystwa powozów publicznych, ale opierając się na tem, co podają w tym względzie Niemcy i Belgia, korzyści wszystkie zdają się tam być po stronie samochodu, i stanowią poważną kwotę oszczędności dochodzącą 25 do 30%. Ponieważ tedy przedsiębiorstwo małych powozów w Paryżu podaje straty losowe przy komunikacyi konnej na 600,000 franków rocznie, przeto procent powyższy stanowiłby

sam przez się rubrykę dosyć pokaźną, nie mówiąc o względzie daleko ważniejszym, jakim jest zdrowie i bezpieczeństwo ludzkie.

Tak tedy wygląda na zewnątrz Francyi i we Francyi samej kwestya komunikacyi samochodami elektrycznymi. Z Zachodu zabłądzi i do nas niewątpliwie ta nowość; i my będziemy się coraz szybciej, a dajmy na to że coraz dogodniej nawet i taniej przenosić z miejsca na miejsce, i my będziemy korzystać z tego dobrodziejstwa cywilizacyi, ale czy wszystkim wyjdzie ona na korzyść, to inne zupełnie pytanie. Nie wolno nam przecież zapominać i o tem także, że przedsiębiorstwa podobne wymagają wielkich instalacyi technicznych, olbrzymich fabryk, a więc dźwigane być mogą tylko przy pomocy potężnych stowarzyszeń, rozporządzających milionowymi kapitałami. Czy te kapitały będą swoje czy obce, wyrugują one z wszelką pewnością posiadacza drobnych środków, odbiorą chleb tysiącom ludzi, którzy zgromadziwszy jakiś tysiąc naprzykład rubli, znajdowali dotąd byt dla rodziny, zakupując ubogą dorożkę i jednego konia. Na pracownika samodzielnego a niezależnego zaczyna być bardzo ciasno w naszych czasach.

R.

Franciszek Coppée.

LISTY MIŁOSNE.

„Miłość prawdziwą tylko mogiła przerywa...“
10—Ben—12.

Nie było bezwątpienia, podczas ostatniego dziesięciolecia, większej dla świata literackiego niespodzianki, nad ukazanie się pod prostym tytułem: „Listy miłosne,“ przepięknego dziełka prozą, które wydał u Alfonsa Lemerre'a poeta Maryusz Cabannes, i które w ciągu kilku zaledwie miesięcy, sześćdziesiątego doczekało się wydania.

Będzie temu lat siedem lub osiem, gdy Maryusz Cabannes, syn rolnika z okolic Bajonny, zawinął do umeblowanej stancyjki przy ulicy Racine, z czterema zaledwie luidorami w kieszeni i z grubym manuskryptem poematów w tłomoczku. Południowiec ten ambitny a ubogi, który podczas nieskończenie długiej jazdy trzecią klasą, żywił się gęsiną i czterofuntowym chlebem ze stron rodzinnych zabranym, szedł on już wtedy śmiało na podbój Paryża. Liczył, dla dopięcia celu, cokolwiek na swe wiersze, pisane na cześć Beaurnu i kraju Basków, ale więcej daleko na pragnienie wybicia się—na gaskońską gibkość karku—na dar deklamowania—na piękną w arabskim guście twarz, z ładnie rozdzielającą się brodą i oczami rozkochanej gazelli.

Miły a przebiegły jako towarzysz, pewną nogą wkroczył natychmiast do studenckiej dzielnicy. Utrzymując się z kilku lekcyi, bo wuj, proboszcz, niezłym go zrobił humanistą, zbierał co wieczór laury w jednej z kawiarni przy bulwarze Saint-Michel, w której gromadzili się współrodacy, a gdzie on wypowiadał swe poematy głosem dźwięcznym, z gestami i natchnionem wejrzeniem prowincyonalnego aktora.

Czy wiersze Maryusza Cabannes'a były dobre czy złe? Nikt na to odpowiedzieć nie był w stanie. Brzmiały nieźle, uwite były wedle przedostatniej mody na Parnasie, a sprytnemu chłopcu nie obcy był żaden sekret nowszej prozodyi; umiał on nadto urozmaicać rytmy jak każdy inny, i rymować czasy przeszłe. Utwory miały odpowiednią budowę, a zwrotki harmonijność. Widziano w nich kolejno, w opisach dość prawdziwych rysunkiem i kolorytem, sceny i krajobrazy stron owych, a wszyscy studenci ztamtąd pochodzący kraśnieli radością poza stosem filiżanek, gdy Maryusz, wsparty plecami o piec zakładu, wyliczał przed wypowiedzeniem tytuły swoich utworów: „Do Pirenejów,“ „Gra w piłkę,“ „Do Henryka IV,“ „Wieczór w Biarritz,“ „Ponad brzegiem ⁂,“ „Życie na stepowej ustroni“ i t. p.

Publiczność mniej interesująca się tym przedmiotem, byłaby odrazu spostrzegła, że niema tam ani odrobiny szczerości, ani jednego odgłosu serdecznego tętna; że wszystkie te kawałki— bo to wyraz najodpowiedniejszy, mówiąc o wierszach Cabannes'a — były niby z lodu, fabrykowane podług recepty autorów łacińskich!

Lecz Maryusz Cabannes, jako wyborny deklamator, zdolny był olśnić najsurowszych nawet krytyków ciepłem swego głosu, w którym drgało prawdziwe wzruszenie, i złudną postacią człowieka namaszczonego geniuszem.

Ten pseudo-poeta, podbity jednak materyałem na dyplomatę, nie mógł, jak to łatwo odgadnąć, zbyt długo czekać na wziętość u biesiadnych stołów. Roztrącając łokciami z wielką siłą ciżbę paryzką, wyrobił sobie wpływowe stosunki, rozpierał się, deklamując swe wiersze u wszystkich kominków literackich; a doszedł był do zenitu chwały na pewnym obiedzie, któremu przewodniczył jeden z ministrów, południowiec; otrzymał w lot posadę w biurach ministeryum oświaty narodowej; uwiódł w końcu nakładcę i wydał „Pieśni Bearneńskie.“

Wątpliwa próba druku nie okazała się dla tych pieśni przyjazną, przynajmniej w oczach prawdziwych znawców. Na białej karcie papieru, rymy nagie, odarte ze sztucznego ognia, podsycanego barytonowym głosem Maryusza, wydały się takimi, jakimi były w istocie: zimnymi jak trupy, a pustymi i nadętymi jak purchawki. Mimo sążnistych i jak z rogu obfitości sypiących się reklam, które sobie autor wizytami składanemi u wpływowych dziennikarzy i rozsyłaniem książki po redakcyach wyjednał, nieszczęśliwy księgarz, który miał śmiałość „Pieśni Bearneńskie“ swoim nakładem wydrukować, nie sprzedał nawet dwustu egzemplarzy z tysiąca.

Maryusza Cabannes'a niepowodzenie to naturalnie wielce dotknęło, lecz okazał się na tyle zręcznym, iż potrafił je na swoją korzyść wyzyskać, potrafił zrobić zeń pewne dla siebie *decorum*. Częściej niż zwykle zaczął się ukazywać w świecie, gdzie przybierał dumną a smętną postawę zapoznanego poety, i gdzie oskarżał dzisiejsze społeczeństwo o okrutną obojętność dla tego, co jest wielkie—dla sztuki. Uśmiechając się z goryczą, gdy go proszono o wypowiedzenie którego ze swych utworów, długo kazał się prosić, niemniej jednak zawsze ulegał, i dzięki przyjemnemu organowi głosu oraz zdolnościom aktorskim, ożywiał jeden z tych zimnych poematów, „wyrabiał mu karyerę,“ jak się wyrażano w zakulisowym języku, i zmuszał do oklasków. Tym sposobem Maryusz doszedł do stworzenia sobie pewnego kółka wielbicieli, nie licznego wprawdzie, ale składającego się z zapaleńców, którzy utworów jego nigdy nie czytali, a znali tylko z ust jego.

Kobiety, uwiedzione pięknością jego oblicza, któremu smutek powabu dodawał, żałowały go i zajmowały się nim. Rozszerzył kółko swych znajomości, uczestniczył milczący i ponurooki w bardzo wielu obiadach proszonych, awansował w urzędowaniu, kochanym był nakoniec przez pewną osóbkę, mającą wiele wpływu. Akademia francuzka, dobra i pobłażliwa istota, przyznała „Pieśniom Bearneńskim“ jedną ze swych nagród, a jej dożywotni sekretarz w gładkiej przemowie nazwał je „obiecującą próbką talentu.“ Słowem, nie zyskawszy sławy rozgłośnej, Maryusz otworzył sobie jednak po maleńku pokątne niejako uznanie, i co się tylko dało, wyciągnął na swą korzyść z godnej politowania książczyny.

Popełnił jednak błąd wielki, gdy w trzy miesiące później na światło dzienne drugą podobną wyprowadził. „Pirenejki“ jego były zdaniem ludzi o wybrednym estetycznym smaku, bardziej jeszcze czcze i o wiele nudniejsze od „Pieśni Bearneńskich.“ Bardzo mało i słabej posypało się reklamy tym razem. Towarzysze dziennikarscy przygłuchli jakoś, i dopraszania się Maryusza pozostały bez skutku. Zaczęto nawet po salonach literackich przedrwiwać cokolwiek tego, którego nazywano „pięknym deklamatorem,“ a niechętni przebąkiwali nawet niepochlebnie, że „sztuczny ogień pali mu zawsze na panewce,“ i że „same suszone wydaje owoce.“ Gdy wtem, w dwa miesiące po ostatecznym upadku tak źle przyjętych „Pirenejek,“ Maryusz Cabannes wydał to przeczyste, niebiańskiej woni arcydzieło, które nazwał „Listami miłosnymi.“

Zdziwienie było olbrzymie. Od czasu „Zakonnicy portugalskiej“ i „Panny de Lespinasse“ nie czytano bezsprzecznie nic bardziej tchnącego szczerością, prostotą, rzewnością i siłą uczucia. A nie był to żaden nieznośny romans w listach. „Nie lotna w uściech Julia! Nie Korynna w turbanie!“ To coś daleko skromniejszego.

Biedna oto nauczycielka, która dla kęsa chleba była dozorczynią na pensyi panien, miała tylko pół dnia wolności na tydzień; owe pół dnia spędzała z narzeczonym—jak ona biednym studentem-poetą, żyjącym w jakiejś norze studenckiej dzielnicy—i szalenie zakochana, o nim myśląc ustawicznie, pisywała doń podczas nudnych i cichych godzin, gdy w klasie dozorowała schylone nad zajęciami dziewczęta.

(*Dokończenie nastąpi*).

Odezwa do pań na wsi.

Przypominam paniom ze wsi, że w tym roku tak samo jak lat poprzednich, pośredniczę bezinteresownie w umieszczaniu krawcowych do wyjazdu na letnie miesiące.

Sądzę, że szanowne panie chętnie korzystać z tego będą, bo pominąwszy, że za niewielkie wynagrodzenie cała ich garderoba doprowadzoną zostanie do porządku, to prócz tego mieć jeszcze będą to zadowolenie, że biednym pracownicom igły, dały sposobność odetchnięcia świeżem powietrzem i nabrania sił do dalszej mozolnej pracy.

Mieszkam Hoża 5 miesz. 13.

Paulina Szumlańska.

O modach.

Ciągle rzeczy nowe nadchodzą z zagranicy; w ten sposób moda się ustala, odrzucając rzeczy i pomysły, które nie trafiają do gustu pań, a ulepszając wybrane. Więcej niż przeszłego roku nosić zdaje się panie będą kostyumy genre tailleur; przyczyniają się niezawodnie do tego modne materyały, mianowicie sukno, które już i w magazynach warszawskich oglądaliśmy. Wszakże kostiumy genre tailleur obecnej chwili nie są to te dawne o surowych liniach i kwakierskiej prostocie—robota i wykończenie są skromne, ale całość wytworna.

W tym stylu jako nowość sezonową dostarcza jeden z magazynów paryzkich kostiumy z sukna czarnego; spódnica obcisła i bardzo długa, zakończona od dołu wolantem coupé en forme, na 40 ctm. szerokim, który cały zaszyty jest białymi stebenkami maszynowymi — linie idą prosto lub po sześć grupami w odstępach. Dla sztywności pod wolant daje się gruby muszlin. Staniczki otwarte z przodu i wycięte w zęby; plastron z białego mousseline de soie.

Bluzki obecnie uległy pewnej zmianie; robią się ogólnie mniej strojne, gładkie, przody mają zaplisowane w drobne fałdeczki, robią je z piki linoni, materyj jedwabnych skromnych. Latem nosić będą bluzki z cienkich białych musslinów, gładkich lub w drobne groszki. Nic piękniejszego, jak bluzka taka gładka, przody w drobne gęste fałdeczki, żabot plisowany z muszlinu zdobi wzdłuż bluzkę z przodu. W Paryżu robią je głównie dostawcy męzkiej bielizny i wielkie magazyny—starają się mieć w domu specyalistę tego rodzaju, który dostarcza i zadawalnia panie wyrobami swymi.

Bolera nie przestają spędzać z widowni staniczki, żakiety i peleryny; fason, który stale się utrzymał nie przechodzi długości stanu i kończy się równo z paskiem, zwykle wykrojony w okrągłe zęby, lub na środku pleców ma szpiczaste wycięcie—to samo z boków i przodu. Pod to daje się pas wysoki aksamitny, który się ukazuje przez wycięte otwory.

Śliczny był tego rodzaju kostium z sukna koloru beige. Bolero było w ten sposób wykrojone i przez wykrój widać było draperye z mousseline de soie koloru beige, tak jak suknia; dwie długie szarfy z tege samego materyału, spadały z tyłu długimi końcami.

Zapowiadają, że latem wśród upałów powodzenie mieć będą fulary; nowości dostarczyć ma Francya. Desenie rozmaite,ale przeważnie w groszki; nie są to jednakże systematyczne pastylki, mijające się w prostych liniach, ale najrozmaitszych gatunków, często i kolorów; ściskają się w pasy, kolumny, mienią i wiją jak węże. Suknie takie robią się od dołu szerokim wolantem, na to tunika plisowana od góry, która rozchodzi się od połowy i na dół opada gładką materyą. Staniczek gładki lub bluzkowy, przybiera się koronką, wykrojony górą, ma t. z. empiècement z gipiury lub też karczek jedwabny w kolorze sukni, a dolny staniczek koronkowy.

Fulary wyrabiane obecnie są daleko efektowniejsze niż były dawniej; błyszczą i lśnią zdaleka, jak atłas; miękkie, wiotkie, znoszą wszelkie niewygody podróży, wyglądając zawsze świeżo i elegancko.

Kapelusze letnie przybierają we Francyi kształty zupełnie inne, przedewszystkiem nie opuszczają ich panie na czoło, jak się to u nas jeszcze zapowiadała; widzimy rondka odchylone w górę, podpięte jedną lub dwiema dużemi różami, czasem węzłem z mousseline de soie; wszędzie czoło odkryte i jedynie kapelusze negliżowe opuszczają się na twarz. Wygodniej to może, lecz strojne, do teatru, przybrane kwiatami i piórami, stanowczo na tył głowy się osuwają. Wiosna, jak zwykle, rozsypała kwiatów dużo, fiołki rozpoczęły, dalej róże i inne dzieci flory; lecz ogólnie wróżą powodzenie piórom; nie odpowiednie to może na letnie kapelusze, ale przy wycieczkach do wód, nad morze, w góry, zawsze ubranie z piór jest praktyczniejsze, nie zaszkodzi im bowiem ani promień ostry słońca, ani kropla deszczu lub rosy.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Z. W. Suknia jedwabna powłóczysta, kolor dowolny np. jasny lila, szafirowy, perłowy, jasno bronzowy ze złotym odcieniem. Na głowę do uroczystości kościelnej kapotka aksamitna lub jedwabna tego co suknia koloru, wiązana pod brodę, z jasnemi piórami. W domu czepeczek z koronki crêpe chiffon, a jeżeli przyjęcie wieczorne, to dodać można kwiaty, szpilki lub rozety brylantowe; stanowić one będą świetne dopełnienie. Kołnierz i ogarnirowanie u rękawów koronkowe.

P. W. O. Plamę ze rdzy na białem trzeba zmyć gorącym kwasem wyciśniętym z cytryny i zagotowanym na łyżce. Buciki modne tego koloru co suknia.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Дозволено Цензурою Варшава, 4 Мая 1899 г. Warszawa. Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Juliusz naznaczył Wilczkowi rolę i wzamian za pospolitą przysługę, otwierał mu na rozcież przystęp do wzbierającego coraz szczęściem swojego Paktolu.

Uczynność tę wprawdzie troskliwie zapisywał na rewersach i troskliwiej jeszcze zaciągał następnie w hypoteczne księgi, ale Wilczek nie zważał na te drobnostki, z wdzięcznością przyjmował usługi, z każdą chwilą ściślej bliźnił się z nieocenionym druhem. Wyjechali do Wiednia.

Juliusz niebawem zajął upragnione sobie miejsce za zielonym stolikiem; Wilczek uderzył odrazu we wszystkie struny opętanego życia.

Wiedeńska młodzież niełatwo wpadała w zadziwienie; tysiące szalonych dziwactw codzień przesuwało się przed jej oczyma, tym jednak razem, zdumiona, musiała przyznać palmę galicyjskiemu magnatowi. Niesłychane ciosy poniesione lub zadane karcianym igrzyskom, konne gonitwy i zakłady, o jakich później sam graf Szandor z drżeniem byłby pomyślał, bajeczne uczty, którym teatra dostarczały głównej ozdoby, a zapału wyborna muzyka i strumienie wina, zapamiętałe pojedynki gdzie zręczność i zimna krew zwycięzcy naprzemian przekonywały przeciwników, że każdym z tych wawrzynów Wilczek kolejno wieńczył skronie.

Towarzystwo zabrzmiało jego nazwiskiem, echa pańskich salonów odbiły się o przedmieścia; wziętość młodego grafa do tego stopnia urosła. że jeden z kupców modnych towarów czołem przed nim uderzył, i pokornie prosił o pozwolenie wypisania nazwiska jego na sklepie, i wywieszenia wizerunku pod hasłem: „Śmiałego Jeźdźca.“

Wilczek poufale kramarza po ramieniu poklepał, przyrzekł swoją opiekę, prośbie jednak odmówił. Resztki jego dumy nie mogły tak dalece puścić się w poniewierkę.

Anegdota atoli rozeszła się po Wiedniu, przydając Wilczkowi sławy, budząc w szeregach nowe oklaski i nowe zazdrości. Drugie to uczucie zaczynało nawet w niektórych jego towarzyszach brać górę nad podziwieniem, w istocie bowiem, jak nie było zazdrościć człowiekowi, któremu los upornie kwieciem słał drogę życia, który rzadkim trafem łączył w sobie znakomite nazwisko z wrodzonemi świetnemi zalety i ze szczęściem ostatniego zuchwalstwa.

Czyli i Wilczek podobnie tuszył o swojem szczęściu? — nie trudno byłoby odpowiedzieć temu, kto potrafiby zejść go ukradkiem w samotności — sam na sam z własnemi myślami.

Zgiełk stolicy i zmienność jego charakteru pomogły mu wprawdzie do chwilowych nad wspomnieniami zwycięztw, dno sumienia atoli zawsze pozostało burzliwem. Im gwałtowniej wyrywał się z objęć przeszłych pamiątek, tem głębiej następnie zapadał w otchłań czczości, niesmaku, nieopisanych zgryzot. Często, w hałaśnem kole towarzyszów, gdy czereda wrzała okrzykami i śmiechem, gdy szał zdawał się ostatki zmysłów porywać, Wilczkowi konwulsyjne jakieś zmarszczki nagle bróździły czoło, głos wiązł mu w piersiach, tonął w zamyślenie i znowu się budził, a jak gdyby natrętne owady brzęczały mu w uszach, zrywał się z miejsca, wznosił spieniony kielich, zagrzewał obecnych do ochoty, wynajdywał niesłychane dziwactwa.

W Wiedniu o nim tylko mówiono; potomkowie pierwszych w Cesarstwie rodzin dobijali się o jego względy. W Galicyi wspominano o Władysiu ze szczególnem uczuciem dumy; w istocie było czem się poczwanić — Niemiec panował we Lwowie, Polak natomiast przywodził modzie w stolicy, podziwem uderzał Austryaków, pokazywał im jak należało żyć, gdy dzielną sarmacką krew miało się w żyłach.

Poznali Niemcy z kim mieli do czynienia!

Wilczek pomimoto, i na sławę zaczął obojętnieć. Sława — wielki ten bodziec historycznych bohaterów, sława, czyli wyraźniej mówiąc, powszedni rozgłos jednego nazwiska — odkryła mu całą próżnię swoich zadowoleń. Znudził się sławą — zepsute dziecię Fortuny, niewdzięcznik, byłby oddał wszystkie jej blaski za jedną chwilę spokoju,

Tymczasem wiosna kwieciła drzewa, rozścielała w Praterze zielone swoje kobierce, i wykwintne towarzystwo stolicy zamykało kolejno domy.

Juliusz obłowiony zdobyczą namówił przyjaciela do przepędzenia lata u wód, gdzie los zapowiadał mu nowe zawody świeżych przeciwników i obfitsze żniwo.

Wilczek przystał tem chętniej, że pobyt w mieście z każdym niemal dniem stawał się mu bardziej nieznośnym — częstym zwyczajem na świecie, w zewnętrznych przedmiotach szukał on przyczyny dręczącego niepokoju, oskarżał miejsca, ludzi o troski własnego sumienia. Przesytem i nadużyciem chciał wypogodzić duszę; rachunek wypadł mu odwrotnie — zamiast upowietrznienia myśli skrzydłami swobody, nakrył ją ołowianą pokrywą gorączkowych zapędów, obłędnych rozkoszy, zmysłowych zadowoleń.

Wyjechał z Wiednia i dalej w życie pogonił, jak gdyby go gnało nieubłagane przekleństwo.

— Potop po nas!.. — wołał niekiedy w rozpaczy, gdy ani w przeszłości nie mógł wypocząć na żadnem kojącem duszę wspomnieniu, ani w przyszłości nie przewidywał miejsca na szeroki oddech, na odpoczynek.

Zmiana miejsca, malownicze brzegi Renu, nieuchronny wpływ natury na organizm najmniej nawet jej wdziękom przystępny, łagodnem wrażeniem wionęły na rozpaloną skroń Wilczka; chwile chorowitego wprawdzie, ale nie mniej przeto upragnionego spokoju spływały mu na duszę, czas prześlaniał widmo przeszłości swoimi obłoki; zadyszany biesiadnik gotował się już uwierzyć w n[illegible] dzieję, gdy w tem, wieści z domu, wręczone po długiem milczeniu, znów ro[illegible] dmuchały w nim ledwo co opopielon[illegible] ognisko.

Przyjęty na krótko przed wyjazdem z kr[illegible]ju, nowy rządca Lumpman, tenże sam, który po długim zarządzie, za wolą Piotra Poraja, odprawę dostał od Sokolnika, donosił mu, że bilans pańskiego majątku przedstawiał przerażające wypadki.

Nieurodzaj, pomór na bydło, liche ceny zboża i mnogie inne klęski, które rządca z dziwną dokładnością wyliczał, groziły ostateczną zatratą dostatkom JW. Pana.

Lumpman dodawał, że dotąd, dzięki tylko niezmordowanej pracy i obrotom niesłychanej zręczności, potrafił opędzić gruntowe ciężary, niektóre procenta, i Panu zasyłać czasami zbyt słabe niestety zasiłki; odtąd atoli i tym świętym obowiązkom nie czuje się w stanie zadośćuczynić; moc człowieka ma także swoje granice.

W innych listach, poufali przyjaciele, blizcy sąsiedzi, napomykali mu o ucisku jakiego na ludzie dopuszczał się nowy rządca, o zgorszeniu jakiem zawiadownictwo Lumpmana napełniało całą okolicę, o konieczności zaradzenia ostatniej zagubie właściciela i ostatecznemu rozjątrzeniu włościan.

Wilczek pierwszy raz zastanowił się nad swojem położeniem. Otoczony bogatą młodzieżą, sam lśniący do koła zbytkiem, zadrżał na myśl, że wkrótce może ostatniemu z dzisiejszych pochlebców nie będzie mógł podać poufałej ręki.

Człowiek bez majątku w wykwintnem towarzystwie, słuszny wstręt mógł tylko obudzać. Na sam posłuch o nieszczęsnej wieści, na widok pierwszej szczeliny w kasie galicyjskiego magnata, rozmiłowana w nim dotąd czereda, odskoczyłaby jak od zapowietrzonego. Kto wie!... może już nawet bystry jaki węch zaczynał wietrzyć prawdę — należało czemprędzej obalić zgubne przeczucia, utwierdzić zachwiane przekonania, niezbitymi dowody fałsz zadać złośliwym pogłoskom. Dalejże więc w nowe zbytki, dalej nowy przepych na pomoc — niech Prusak, niech badeński poddany, równie jak cesarska gawiedź poznają swego pana!...

Zamiar był chwalebny, patryotyczny — szło tylko o stosowne do wykonania środki, tych zaś jak na przekorę w tej chwili niezupełnie starczało.

Wilczek od dwóch dni napróżno usiłował tłumić frasunek; zapominał się, marszczył czoło, wpadał w zadumy, gniewnie zaciskał usta i dłonie.

Juliusz nie potrzebował silnych natężeń umysłu, by poznać, że chwilowa jakaś przeszkoda dotkliwie dręczyła przyjaciela, ujął go pod ramię w pierwszej wedwójnej przechadzce, i za pierwszem słowem wnet do samego dna prawdy się dobrał.

Wilczek pod tym zwłaszcza względem, nic nie miał skrytego dla powiernika; zdał mu dokładną sprawę z otrzymanych wieści.

Juliusz uśmiechnął się, wzruszył ramionami; nie pojmował, jak podobne drobnostki mogły niepokoić człowieka znającego świat, biegłego w sztuce życia

Lumpman był złodziejem — nic dziwnego! — każdy rządca musiał kraść i kraść tam, gdzie znajdowała się zdobycz. Hołysza obedrzeć sam Salomon nie potrafił, że zaś każdy pan musiał mieć rządcę, wypadał więc jako oczywisty wniosek, że kto był panem, ten musiał być okradanym. Lumpmana należało przepędzić, jeżeli za wiele sobie pozwalał, tymczasem zaś powszednie wypadki w niczem nie miały prawa wpływać na humor przyzwoitych ludzi. O pieniądze przecież nie chodziło, kiesa Juliusza wiecznie dla przyjaciela była otwartą, kiesa, którą los pomyślny z każdym dniem napełniał po brzegi.

Wprawdzie w tej chwili, ulubieniec Fortuny, zbyt wiele gotówki nie posiadał, wysłał był bowiem znaczne summy dla zakupienia pewnego majątku w Galicyi, ale też i Wilczek niekoniecznie potrzebował sypać złotem przed ludźmi którzy oddawna znali jego wartość, i umieli, jak przystało, go cenić.

Juliusz dodał wiele podobnych uwag tonem trochę opiekuńczym, nieco nawet wyniosłym, tak się zdawało Wilczkowi, który przyzwyczajony do pochlebnej uległości dzisiejszego koryfeusza, podejrzliwem uchem wysłuchiwał niezwykłych sobie dźwięków.

Oczywiście Juliusz brał na kieł, czuł się dość silnym do lotu o własnych skrzydłach, korzystał ze swego położenia, z wyświadczonych i możebnych nadal, przysług, pierwszy pokazywał mu przyszłość, jaka od mniej poufałych czekała pana osadzonego na bruku.

Dawniej Wilczek jednem słowem byłby pod ziemię wpędził niewczesnego doradcę, dziś związany potrzebą, musiał ugiąć się, zgryźć gorzką prawdę, lub dla ocalenia miłości własnej, nie przypuszczać nawet podejrzeń.

Pierwszy ten pozór buntu jednego z najwierniejszych dotąd poddanych, mocno go ubódł, mocniej jeszcze zastanowił.

Juliusz sam spostrzegł się, że za daleko może odsłonił tajniki swej myśli, puścił rozmowę żartobliwą koleją, cierpkie uwagi przenicował na przyjazne zarzuty braku zaufania, i za karę zmusił winowajcę do przyjęcia wzdętego banknotami pugilaresu.

Wilczek nie mógł odmówić, ofiara atoli paliła mu ręce; przyjmowanie przysług, uważał dotąd za dowód swej łaski — on, który niegdyś z prawdziwie pańską szczodrobliwością, w odezwach do swej uczynności widział jedyny dowód przyjaźni.

Niespodziany ten obrót myśli naprowadził go na postanowienie powrotu do domu; obecność jego niejednemu złemu mogła zaradzić, sam wreszcie Juliusz kilkakrotnie wspominał o przepędzeniu zimy w Galicyi, dla wspólnych, jak powtarzał, i nieodzownych interesów. Wyraźniej tłumaczyć się nie chciał, widno jednak było, że gwoli przyjacielowi knuł świetne jakieś zamiary, że według ulubionego swego wyrażenia, zaginał parol na wygranę pierwszego rzędu.

Objechawszy pospołem brzegi Renu, obaj przyjaciele znaleźli się pewnego poranku na drodze do Wrocławia, ztamtąd do Krakowa, zkąd po krótkim pobycie wyruszyli na Czerwoną Ruś.

W Galicyi wiedziano już o powrocie Wilczka. Sława poprzedziła kroki bohatera wiedeńskich salonów. Lwów nie posiadał się z radości — prowincyonalne miasto tryumfowało nad stolicą, odbierając jej na całą zimę jedną z pierwszych ozdób wykwintnego towarzystwa; młodzież z zapałem udzielała sobie szczęśliwej wieści. Przepowiadano szalone zapusty, gry czyli tak zwane partye pełne wzruszeń i nadziei grubych obłowów, bezprzykładne w wyścigowych pamiętnikach gonitwy. Niektórzy nawet półgłosem zaręczali, że Wilczek przywoził z sobą angielskiego dżokeja, chudego jak szczapa i niezrównanego w sztuce wychudzania folblutów i hunterów.

Ostatnia ta pogłoska głęboko rozdrażniła ciekawość namiętnych lubowników koni; znaleźli się i tacy, którzy na samą wieść o dżokeju, czemprędzej przykazali o połowę zmniejszyć swoim wierzchowcom powszedni wydział owsa.

Młodzież wychudłej postaci z dumą pokazywała sterczące kości, okrągli szczerze jej zazdrościli drogiego przywileju; na pozór rzec byłoby można, że dziwny spirytualizm ogarnął wyścigowych spółzawodników, tak dalece w nadziei przyszłych gonitw każdy pogardzał swem ciałem, brzydził się tłustą materyą.

Nadszedł wreszcie upragniony dzień; Wilczek zajechał do hotelu Zorża.

Tłum obległ drzwi jego pomieszkania, wzbierał przyjaciołmi co chwila, ostatnich przybyszów z trudnością przepuszczał do samego kapłana; okrzyki, powitania, gwary i śmiechy, wrzały jak w ulu.

Towarzysze dawnych uciech wyprawili świetną ucztę na cześć powrotu przywódcy; niewysłowiona radość ogarnęła umysły; przypominano pamiętne kielichy, toasty, zakłady, heroiczne wypadki; ściskano się bez miłosierdzia, jeden nawet z dwóch braci zakarpackich łzy ciągle miał w swych oczach.

Po wspólnej uroczystości nastąpiły pojedyńcze zaproszenia, niespodzianki, bankiety. Rozrywano sobie upragnionego gościa, który stolicę Cesarstwa umiał napełnić odgłosem swego nazwiska i zakasować najznakomitszą cudzoziemską młodzież. Zaszczyt dla Lwowa nielada! — hulaszcza galicyjska szlachta musiała przekonać gwiazdę Prateru (tak odtąd zwano Wilczka) że długa nieobecność wodza w niczem nie osłabiła obozowego zapału.

Lwów do dna zakipiał; dzięki sarmackiej tężyznie, w kilku dniach powetowano dwuletnie blizko po samotnych wioskach letargi. Jak nie było weselić się, gdy w obumarłe ciało nagle wracała dusza, nieugaszony ogień powszechnego ruchu i życia!...

Łatwo odgadnąć, że pewna część oklasków i tryumfów, słusznym rozdziałem przypadała na towarzysza wiedeńskiej wyprawy. Juliusz atoli odmienił się do niepoznania; dawniej, uprzedzający dla wszystkich, wdzięczen za najlżejszą oznakę przychylności — dziś, zimno przyjmował tłumne oświadczenia, z góry mierzył poufałych niegdyś znajomych. Czuł swoją wartość — wyjechał dostatnim zaledwie szlachcicem, powracał panem, wracał obciążony łupem.

Patryotyczne wawrzyny zwycięzcy i świetność położenia jego aż nadto usprawiedliwiały przed światem prawowitość odmiany i podwyższenia tonu. Przyszła i na Juliusza kolej; i jego, po długiem a mozolnem czeladnictwie uznano wreszcie mistrzem i rzecz dziwna!... odkryto w nim niepostrzeżone dotąd zalety.

Prawdziwa zasługa nie potrafi długo się taić.

W Wilczku, pod względem obejścia żadnej nie znaleziono zmiany. Władyś był zawsze tym samym dobrym, kochanym chłopcem, zepsutem dzieckiem o otwartych dłoniach i sercu, o błyszczącym dowcipie, o gościnności bez granic. Wracał jakim był, dzielnym, uprzejmym, wesołym. Tak przynajmniej sądzono z pierwszego wrażenia, i w istocie trudno było sądzić inaczej. Wilczek umiał panować nad sobą i przybierać wyraz według upodobania, sam wreszcie uległ wpływowi powszechnych ku sobie uniesień; z radością w pierwszej chwili ujrzał się między swoimi, posłyszał znajome głosy, wyrażenia, dowcipy, uczuł znowu w objęciach rozmachane uściski kapitana Skałki, przywiązanego świadka tylu przemówek, zwad, pojedynkowych bójek.

Wieść o przyjeździe Wilczka, z całej okolicy gromadziła młodzież do Lwowa. Czereda z każdym dniem się zwiększała; każdy dzień podawał hasło do nowych uciech i zbytków. Wilczek napomknął o wyjeździe, dowodził, że ważne sprawy odwoływały go na wieś; nie chciano słuchać — śmiano się, powtarzając, że człowiek raz tylko żyje na ziemi, że stracone tu chwile, na tamtym świecie na nic się nie przydadzą.

Wilczek do ostateczności przywiedzion, chwycił się jedynego sposobu, jaki mu podawała natarczywa przyjaźń rozmiłowanych w nim druhów.

(Dalszy ciąg nastąpi).